

Rewelacyjne studium o prawdzie w „Horzycy”

Premiery, jak nieszczęścia, snują się ostatnio po Toruniu parami, a nawet trójkami, jak to miało miejsce w przedświąteczny weekend. Prawdziwe nieszczęścia, gdy skazują teatr – razem z publicznością – na przeciętność, jak w *Ludowej Szopce Polskiej* wystawionej w „Baju”, albo osiągają poziom igrzysk szekspirowskiej tragedii rodzinnej, w której reżyser-syn przez dwie godziny w obecności widzów i przy pomocy Bogu ducha winnych aktorów „zarzyna” ojca-autora w *Kupie Laokoona*, czy też *Grupie Laokoona* (nie jestem pewien tytułu) wystawionej w „Horzycy”. Taka klęska temu teatrowi zdarza się raz na kilka lat, bardzo szybko schodzi i pozostaje tylko legenda. Będzie się czym chwalić po latach.

Ślimagg, pokaż rogi!

Po tej nieszczęsnej premierze nie było w teatrze żaloby. Można było wyczuć, że coś się święci. Co? – okazało się nazajutrz podczas premiery sztuki Tankreda Dorsta. *Fernando Krapp napisał do mnie ten list*. Sukces! Sukces reżyserii, aktorstwa, scenografii i autora, tryumf teatru jako zjawiska, po prostu znakomite przedstawienie. Krystyna Meissner przypominała wreszcie, że jest nie tylko dyrektorem festiwalu KONTAKT (o teatrze nie wspomnę), ale przede wszystkim prawdziwym artystą. Rzeczywiście, chyba od czasu pamiętnej *Pchły* w starym forcie nie miała – przynajmniej w swoim teatrze – tak udanej premiery. Była jeszcze po drodze uroczą *Historia Żołnierza* z muzyką Strawińskiego (ponoć w lutym schodzi – wielka szkoda), były inne sztuki, ale tryumfy (i upadki) premierowe święcili raczej inni, przyjezdni reżyserzy. I bardzo dobrze, tak powinno być w dobrym teatrze.

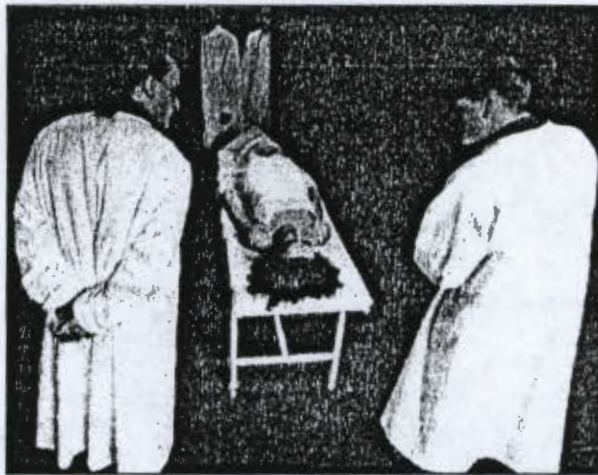
Po wznowieniu sztuki po świętach, dwa ze styczniowych spektakli nie wiedzieć czemu nazwano premierami, i to w dodatku prasowymi. Nic nie uzasadnia takich niecnych praktyk – chyba że miałby np. pojawić się autor – zwłaszcza że *klakierów* na takie imprezy nie wpuszczają. A jednak postąpię jak rasowy recenzent prasy centralnej i dokonam błyskawicznego... streszczenia sztuki. Zdradzę, jak się kończy Krapp: morduje kolejną żonę i pisze kolejny list:

– „Jest pani najpiękniejszą kobietą w mieście, może nawet w kraju. Ożenię się z panią!”

Z miłości, oczywiście z miłości, bo to jest sztuka o miłości.

– „Fernando Krapp napisał do mnie ten list...”

Tak mogłaby się zaczynać kolejna sztuka. Tak właśnie zaczyna się TA sztuka. Jednak nie jest to kolejna wersja historii Kuby Rozpruwacza, chociaż jeżeli przyjąć *skorubbiakową* hipotezę tytułowej postaci, no to ten miałby czym rozpruwać! Nie jest tak, nie tylko dlatego, że skłamałem, i dramat kończy się zupełnie inaczej. Autor jakby lituje się nad publicznością, a może jednak polubił stworzonego przez siebie bohatera i nadaje tekstowi zakończenie melodramatyczne. Jest okazja popłakać! Ale też wcale nie ta odrobina ożywej i oczyszczającej egzaltacji czyni ten spektakl wybitnym. Cóż więc? Czemu ten mroczny, zimny, chciałoby się rzec ibsenowsko-bergmanowski, skandynawski teatr, który nagle objawił się w Toruniu, rozrywa wnętrze widzów? Przecież to prawie słuchowisko! Tu słowo rządzi z precyzją



M. Milczarczyk (Hrabia), E. Mrozińska (Julia), D. Siastacz (Krapp)

Fot. W. Szabelski

i dyscypliną każdym przedmiotem czarno-białej scenografii: dwa krzesła, dwie pufy (czasem grają sofę – *corpus delicti*), dwa fotole i drzwi, drzwi, drzwi..., siedmiomro. Dokąd prowadzi? Przedmioty rozstawiane niczym instrumenty w orkiestrze. Przedmioty, wśród których rozgrywa się rzeczywistość we wszelkich odcieniach szarości. Kolor pojawia się tylko razem z namiętnością, w spódnicy dziewczyny, róży w butonierce i owocach, ma się rozumieć zakazanych. Może to efekt niezamierzony, ale też ploną rude włosy na głowie Julii (Krappichy). Efekt piorunujący, bo właśnie o godność kobiety, upokorzonej do obłędu (dosłownie) tutaj też chodzi.

Obłęd jest jakby trzecim kluczowym elementem spektaklu. Nie tylko dlatego, że jedna z najlepszych scen rozgrywa się w domu wariatów. Nie tylko dlatego, że sztuka jest grana na tej niebezpiecznej krawędzi, gdzie zaciera się różnica między fikcją a rzeczywistością (ileż to teatrów, tzw. alternatywnych, prowadzi prosto do szaleństwa). Myślę, że spektakl można by pokazywać na konferencjach psychiatrów i ciekawa byłaby dyskusja na temat diagnozy. Tytułowy bohater, niewątpliwie psychopata, ale czy tylko sado-masochista, czy też paranoik? Autor płacze się w wieloznacznościach. Może to więc tylko skrajny przypadek przymusowca, człowieka trzymającego emocje głęboko pod skorupą: wszelkie – i te negatywne – zazdrość, nienawiść, i te pozytywne – przywiązanie, miłość... To w gruncie rzeczy szlachetni, ale bardzo bojaźliwi ludzie. Terapeuci jednak drżą na myśl o takich przypadkach. Leczenie polega na ogniskowaniu negatywnych emocji pacjenta na psychoterapeucie, który mimo to nie może

odrzucać leczonego. Czasem to trudno wytrzymać. Poprzez negatywne emocje pacjent uczy się wyzwalać również te pozytywne, powszechnie nazywane uczuciami. A jednak Fernando nazywa się Krapp, a nie Żółf, czy na przykład Ślimagg, nie o skorupę zatem tylko tutaj idzie.

Prowokacyjna siła tego przedstawienia polega też na tym, że prawie każdy grał w nim jakąś rolę: on, ona i ten trzeci. Na tego trzeciego, hrabię Juana Bordavellę (a jakże! – tekst ma wyraźną hiszpańską motywację) ostrzy nożyce Krappiszcze, a Ślimaggi na widowni jak gdyby wypelzają ze skorubek, tylko po to, by w perfidnie podsuniętych przez scenografa lustrach zobaczyć... szekspirowski atrybut męskości! Jeden na tysiąc takich historii to Krapp, Ragg czy Lankkusta. Ślimaggom pozostają tylko... rogi!

Zostawiając żarty na boku, uważam spektakl za wyjątkowy. Na pewno dla widzów dorosłych. O reżyserii, scenografii, ruchu już pisałem – wierzchołek listy plac poniżej. Aktorstwo niezmiernie ciekawe, nieszablonowe, zwłaszcza że wszystkie trzy postaci trójkąta to w Toruniu w zasadzie nowe twarze. Przedstawienie ma chyba tylko jedną wadę: jest nierówne. Nie podczas spektaklu, ale z przedstawienia na przedstawienie. Nie co dzień udaje się uzyskać to samo napięcie. Myślę, że jest to uzależnione od formy, w jakiej znajduje się sceniczna Julia, która to postać jest osią dramatu i pociągą za sobą partnerów. Może aktorce potrzebna jest zawsze odrobina tremy lub gniewu (np. na pijaną część licealnej widowni). Widzowi pozostaje liczyć na szczęście, albo po prostu próbować kilka razy. Warto!

Tankred Dorst to niezwykle płodny współczesny dramaturg niemiecki. Niedawno święcił tryumfy monodram *Ja, Feuerbach* z Tadeuszem Łomnickim. Kolejne sztuki (*Pan Paweł, Mamu!*) pojawiają się ostatnio w „Dialogu”. Coś chyba było też przed laty w „Literaturze na Świecie”, ale nie potrafię tego teraz sprawdzić. Może właśnie *Krapp*, bo w latach siedemdziesiątych wystawił go Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie. Była to ponoć zupełna k(r)lappa i spektakl zszedł niemal zaraz po premierze. Toruńskie przedstawienie nie było polską więc prapremierą, mimo że specjalnie zamówiono nowe tłumaczenie. Należy rozumieć, że tłumacz znakomicie wykonał swoją pracę. Tekstem interesuje się wiele teatrów, m.in. Teatr Powszechny, jedyna – moim zdaniem – scena w Warszawie, na której trudno się zawiesić. Jak sądzę, to wymarzone role dla Krystyny Jandy (ona), Piotra Machalicy (on) i Janusza Gajosa (ten trzeci). Ja bym tak obsadził, a potem wysłał do Torunia. Pewnie – tym razem – mogłoby się czegoś od swoich młodszych toruńskich kolegów nauczyć.

KLAKIER

Tankred Dorst. *Fernando Krapp napisał do mnie ten list*, przekład Jacek St. Buras; reżyseria Krystyna Meissner; scenografia Aleksandra Semenovicz; ruch sceniczny Władysław Janicki. W głównych rolach: Dariusz Siastacz, Elżbieta Mrozińska, Marek Milczarczyk. Teatr im. Wilama Horzycy, premiera 17 grudnia 1994.